Rok VI. Kraków, 1 Lipca 1898. Nr. 7.

NOWY DZWONEK

PISMO ILLUSTROWANE

popularno-naukowe i powieściowe.

Wychodzi raz w miesiącu — około dnia 1-go.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* wynosi w **Galicyi:**
rocznie: 1 złr. 50 ct.
półrocznie: 75 ct.

Kwartalnej przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: 3 mk. — półrocznie: 1 mk. 50 fen.

W Ameryce rocznie: 1 dolar.

Adres do przesyłania przedpłaty: ***Redakcya Nowego Dzwonka,*** w **Krakowie,** ul. Basztowa L. 4.

Wydawca i redaktor: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

Od Wydawnictwa.

Pierwszy numer *Nowin* rozesłany zostanie w tych dniach. *Nowiny* kosztować będą nie **2** złr. **50** ct., jak zapowiadaliśmy, ale **3** złr. ze względu na to, że dajemy większą objętość, gdyż numer 8-kartkowy i w dużym formacie.

Kto już ma zapłacony *Nowy Dzwonek* za 2-gie półrocze, ten za tę kwotę **1** złr. **50** ct. otrzymywać będzie do końca roku nie *Nowy Dzwonek*, lecz *Nowiny*, aby rachunki były jasne, zaś na *Nowy Dzwonek* zechce taki Czytelnik nadesłać nową półroczną przedpłatę **75** ct.

W ten sposób wszyscy Czytelnicy, tak ci, którzy tylko za pierwsze półroku zapłacili, jako i ci, którzy na cały rok **3** złr. nadesłali, — mają teraz nadesłać na *Nowy Dzwonek* nową prenumeratę półroczną. Prosimy o rychłe nadsyłanie przedpłaty!

Krótki opis dziejów Kościoła katolickiego

w pierwszych trzech wiekach.

(Ciąg dalszy).

Zburzenie Jerozolimy.

Przed śmiercią swą krzyżową przepowiedział Chrystus Pan, że żydów czeka kara Boża za to, że nietylko odwrócili się od swojego Mesyasza, ale jeszcze prześladowali Jego wyznawców. Przepowiedział im Zbawiciel, że stolica kraju żydowskiego Jerozolima zostanie przez nieprzyjaciół zdobyta i w gruzy zamieniona, tak, że nawet ze wspaniałej świątyni

Salomona nie pozostanie kamień na kamieniu. To groźne proroctwo spełniło się w roku 70 po Narodzeniu Chrystusa.

Niektórzy zagorzali żydzi zrobili powstanie przeciw Rzymianom, chcąc się pozbyć ich panowania. Wówczas panował w Rzymie ów okrutny Neron, o którym była mowa w jednym z poprzednich numerów. Tenże wysłał na uśmierzenie żydów wodza Wespazyana, który wnet prawie cały kraj żydowski podbił i napowrót odzyskał.

Po śmierci Nerona udał się Wespazyan do Rzymu, gdzie po krótkiem panowaniu cesarzów: Galby, Ottona i Witeliusza, sam został cesarzem, a zasiadłszy na tronie rzymskich cesarzów polecił synowi swemu Tytusowi dalsze prowadzenie wojny z żydami, która się skończyła zniszczeniem Jerozolimy.

Było to w roku 70, kiedy na święta Wielkanocne przybyło do Jerozolimy wielkie mnóstwo ludzi, a wojska rzymskie stały już pod murami miasta i zaczęły je oblegać.

Wskutek oblężenia i odcięcia tym sposobem stolicy od reszty kraju, powstał w Jerozolimie niesłychany głód. Spożywano rzeczy najwstrętniejsze, nawet skóry z obuwia odzierano i pożerano; widziano także matki, zabijające własne dzieci na pokarm. Ponieważ ogromnej liczby trupów niepodobna już było grzebać, zrzucano je z murów miasta w doły i doliny, wskutek czego powstała zaraza, która dziesiątkowała ludność.

Nakoniec Jerozolima została zdobyta. Tytus, wódz rzymski, zdobywszy to miasto, chciał ocalić wspaniałą świątynię, ale pomimo rozkazu ochraniania, jeden z żołnierzy rzucił pochodnię, i w mgnieniu oka świątynia stanęła w płomieniach. Pożar tak się rozszerzył, że o ratunku i mowy nie było, i świątynia runęła w gruzy. Stało się to 10 sierpnia 70 roku.

Tymczasem na ulicach rzeź nie ustawała i tyle krwi się polało, że w niektórych ulicach krew ogień gasiła. Podczas obrachunku niektórych historyków zginęło podczas tej wojny przeszło trzy miliony trzykroć sto tysięcy żydów, a nadto 97 tysięcy sprzedano w niewolę jako niewolników.

Ze zburzeniem Jerozolimy i spaleniem kościoła ustały ofiary Starego Zakonu, a naród został odrzucony i rozproszony po całym świecie, jak mu to przepowiedział prorok Daniel.

W Jerozolimie była już w tym czasie spora gromadka chrześcijan; ci pomni na proroctwa Zbawiciela i widząc znaki poprzedzające klęskę stolicy, wyszli z Jerozolimy jeszcze przed jej oblężeniem, a tak i śmierci się uchronili i rozchodząc się po świecie, roznieśli w różne strony naukę Chrystusową.

Drugie prześladowanie chrześcijan wśród pogan od r. 93—96.

Po cesarzu Wespazyanie, który panował od r. 69 do 79, objął tron rzymski syn jego Tytus, zdobywca Jerozolimy i panował do r. 87. Obaj ci monarchowie byli dość łagodni i chrześcijan nie prześladowali. Miejscami jednak starostowie rzymscy pozwalali sobie na prześladowanie wyznawców Chrystusa.

I tak w Rawennie umęczony został w r. 70 św. Ursycynus, lekarz i św. Witalis, lekarz, oraz jego żona Walerya W Medyolanie żyli dwaj synowie Witalisa i Waleryi, mianowicie Gerwazy i Protazy, którzy rozdali cały swój majątek na ubogich i wielu pogan do Chrystusa nawrócili.

Starosta medyolański poduszczony przez pogańskich kapłanów, kazał ich stawić przed siebie i wyrzec się Chrystusa, a gdy ci śmiało wyznawali prawdziwego Boga, oddał ich na męki. Gerwazy był tak długo smagany biczami, opatrzonymi na końcu w ołów, aż Bogu ducha oddał; Protazy zaś był bity kijami, a potem ścięty.

Po Tytusie wstąpił na tron rzymski w r. 87 Domicyan, także syn Wespazyana i brat Tytusa, ale z usposobienia niepodobny ani do ojca, ani do brata. Tenże słysząc o królestwie Chrystusowem, a nie rozumiejąc znaczenia tych słów, myślał, że przez Boga i chrześcijan zostanie pozbawiony tronu, i dlatego wydał rozkaz prześladowania chrześcijan.

Było już wówczas dużo chrześcijan nawet między senatorami, a nawet i w samej familii cesarskiej, i tych wszystkich kazał Domicyan zamęczyć wymyślonemi katuszami. Zamęczony też został w r. 91 papież św. Klet, następca św. Linusa.

Prześladowanie Domicyana jest tem sławne, że cesarz ten męczył św. Jana Apostoła, którego kazał z Efezu do Rzymu sprowadzić. Tu najpierw dano mu do wypicia truciznę, ale mu ta nie szkodziła wcale, ztąd malują św. Jana z kielichem, z którego wygląda żmija.

Potem na rozkaz cesarski wrzucono św. Apostoła w kocioł wrzącego oleju, ale Bóg go cudownie ocalił, bo z owego oleju wyszedł św. Jan silniejszym i czerstwiejszym. Tyran uderzony tym cudem, nie mając odwagi skazać Świętego na śmierć, kazał go wygnać na wyspę Patmos do kopalni. Tam napisał św. Jan Apokalipsę, czyli objawienie, które stanowi ostatnią księgę Nowego Testamentu.

Gdy w roku 96 cesarz Domicyan został skrycie zabity, jego następca cesarz Nerwa odwołał wszystkich, co byli skazani na wygnanie, wskutek czego i Jan św. powrócił do Efezu

i tu mieszkając napisał Ewangelię św., która się zaczyna od słów: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo. A Słowo stało się ciałem i mieszkało między nami“. Prócz tego zostawił Jan św. jeszcze trzy listy apostolskie, pisane do wiernych z upomnieniem. aby się strzegli heretyków, którzy już wtedy pojawiać się poczęli.



Św. Janowi podają truciznę.

Pisze św. Hieronim, że Jan św. dożył późnej starości, a gdy już nie mógł chodzić, przynoszono go do kościoła i proszono, aby co jeszcze powiedział. Na co Apostoł św. odpowiadał: „Dzieci moje, miłujcie się nawzajem“. A gdy go pytano, czemu im to samo ciągle powtarza, odrzekł: „bo to jest dosyć. Jak będziecie się miłować, to wypełnicie całe prawo Jezusa“.

Apostoł ten przeżył wszystkich Apostołów. Umarł około roku 100 po Chrystusie.

O życiu, czynach i śmierci innych Apostołów.

O życiu i działalności innych Apostołów, mało mamy wiadomości, to jednak wiadomem, że wszyscy byli gorliwymi



Św. Jan w latach starości noszony do kościoła i dający nauki.

pracownikami w Kościele Bożym i z wyjątkiem św. Jana, który umarł śmiercią naturalną, wszyscy inni przelali krew swą dla Chrystusa.

Św. Jakób, nazwany „Mniejszym“ był Biskupem w Jerozolimie, a dla cnót swych był nawet od niewiernych szanowany. Razu pewnego, mianowicie 10 kwietnia 62 roku po Chrystusie, gdy starosta rzymski oddalił się z Jerozolimy, sko-

rzystali z tego żydzi i jęli prześladować chrześcijan. Arcykapłan żydowski zawezwał św. Jakóba i zażądał od niego, aby bluźnił P. Jezusowi.

W tym celu wyprowadzono go na ganek Kościoła; ale św. Jakób nieustraszenie wielbił Zbawiciela Pana, za co żydzi zepchnęli go z ganku, a potem jeden z żydów uderzył go tak mocno w głowę drągiem, że św. Apostoł ducha oddał Bogu.

Św. Mateusz mając opuścić żydowską ziemię, napisał przedtem na prośby chrześcijan Ewangelię, a potem udał się do Partów i Etyopów, gdzie w roku 60 poniósł śmierć męczeńską.

Św. Maciej, wybrany w miejsce zdrajcy Judasza, nauczał w Lybii i Mezopotamii i w roku 60 otrzymał koronę męczeńską.

Św. Bartłomiej nauczał w Indyach, Arabii, Persyi i w Armenii, gdzie poniósł śmierć męczeńską.

Św. Andrzej pracował w Scytyi nad morzem Czarnem, potem w Grecyi i Achai, gdzie go w roku 70 przybito do krzyża mającego kształt litery X.

Św. Filip przebiegał Frygią i tamże w mieście Hierapolu około r. 80 był ukrzyżowany.

Św. Juda Tadeusz nauczał w Armenii, Assyryi, Mezopotamii i Persyi. Poniósł śmierć męczeńską około roku 80.

Św. Tomasz nauczał u Partów, Medów, Hirkanów i Indyan, i w mieście Karminie krew przelał.

Św. Szymon głosił naukę Chrystusową w Egipcie, Lybii i Persyi; skończył życie również śmiercią męczeńską.

Św. Jakób Większy, brat św. Jana, został ścięty w Jerozolimie w roku 44.

Trzecie prześladowanie od r. 107 do 117.

Za panowania Nerwy, który krótko rządził państwem rzymskiem, bo tylko przez dwa lata (od roku 96 do 98) nie prześladowano chrześcijan. Po Nerwie objął rządy Trajan. Ten był walecznym żołnierzem i zręcznym politykiem, ale jako człowiek prywatny nie zasługiwał na żaden szacunek.

Za jego rządu było już w całem państwie rzymskiem dużo chrześcijan; cesarz Trajan nienawidził ich dlatego, że uważał pogaństwo za niezbędny warunek potęgi Rzymu, a zatem uznał wyznawanie religii chrześcijańskiej za przestępstwo wobec państwa.

Z początku, gdy się namiestnik Bitynii, Pliniusz młodszy

pytał Trajana, co robić z chrześcijanami, cesarz odpowiedział, że umyślnie wyszukiwać ich nie należy, jeżeli zaś zostaną oskarżeni jako chrześcijanie, należy ich karać.

W tym czasie pojmany został i skazany na wygnanie do Chersonesu (czyli do Krymu) Papież św. Klemens, gdzie go Bóg wsławił cudami. Razu pewnego, gdy ludzie tamtejsi z pragnienia już umierali; bo wody nie było, okazał się św. Klemensowi, baranek uderzający nogą o skałę, z którego wytrysnęło źródło.

Św. Klemensowi udało się wielu pogan nawrócić; ale inni zacięci nienawidzili go i uwiązawszy mu u szyi kotwicę, wrzucili go do morza. Gdy woda ustąpiła, znaleźli wierni zwłoki świętego, które pochowali w kaplicy. Później zwłoki św. Klemensa przeniesiono do Rzymu. Św. Klemens zasiadał na Stolicy papieskiej od r. 91, a umęczony został w roku 100 po Chrystusie dnia 23 listopada. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Jakto szewc Marcin został klasztornym braciszkiem.

(Zdarzenie z czasów minionych.)

Opowiedział J. P.

W pewnem miasteczku żył szewc Marcin, który wprawdzie przez pięć dni w tygodniu, t. j. od wtorku do niedzieli, a często nawet w samą niedzielę, siedząc nad butami pilnie pracował, ale — gdy już robotę pooddawał, popołudniu w niedzielę schodził się ze znajomymi w szynku, pił bez upamiętania i wracał do domu aż nad ranem.

Obudziwszy się rano w poniedziałek i czując się po przepiciu ociężałym i słabym, udawał się nasz majster znowu do miasta, aby — jak to mówią — *„klin klinem wybić“* i pił znowu cały poniedziałek bez opamiętania, a dopiero we wtorek około południa powracał powoli do roboty.

Z tego powodu w domu Marcina była nędza — tak wielka, że w mieszkaniu były prawie pustki — *„cztery kąty, a piec piąty“*, nie było co zjeść, brakło należytej odzieży, a w zimie opału.

Żona Marcina, kobieta trzeźwa i pracowita, oganiała się biedzie, jak mogła: prosiła, upominała męża, wskazywała mu dzieci — bose, obdarte i wynędzniałe, groziła sądem Bożym, ale wszystko napróżno, gdyż Marcin zamiast brać sobie słowa poczciwej żony do serca i do głowy, sadził się jeno na koncepty, lub złorzeczył, a bywało tak, że rzucał wieczór do

niej szewskiem kopytem, albo bił żonę niemiłosiernie i wyganiał z domu.

Marcinowa znosiła wszystko przez długi czas cierpliwie, modliła się i prosiła Boga o nawrócenie męża — pijaka, a gdy to wszystko nie pomagało, zrozpaczona, nie wiedząc, co miała dalej czynić, udała się do klasztoru OO. Bernardynów na Mszę świętą, szukać pociechy i natchnienia u Ojca niebieskiego. Gdy się zatem podczas Mszy św., płacząc rzewnie gorąco modliła, zaświtała jej w głowie myśl, aby pójść do księdza Gwardyana, opowiedzieć mu wszystko i prosić o zbawienną radę.

Jak postanowiła, tak też i uczyniła. Po Mszy świętej idzie i opowiada wszystko księdzu Gwardyanowi, który wysłuchawszy ją cierpliwie, pocieszył jak mógł strapioną kobietę i polecił jej, iżby mu była dała znać, gdy jej mąż, dobrze upity, przyjdzie do domu i będzie spał....

Niedługo czekała na to Marcinowa, bo już tego samego dnia, powróciwszy do domu, zastała męża leżącego prawie bez duszy na łóżku. Powraca więc natychmiast do klasztoru i opowiada o tem księdzu Gwardyanowi.

Ksiądz Gwardyan kazał bezzwłocznie zaprządz konie do wozu, posłał braciszka klasztornego z silnym parobkiem do szewca i kazał spiącego włożyć ostrożnie na wóz, iżby się nie przebudził i przywieźć go do klasztoru. Tymczasem kazał wypróżnić jedną celę i przygotować w niej habit zakonny.

Wysłany braciszek sprawił się doskonale; przywiózł spiącego szewca do klasztoru. Wniesiono go następnie do celi, zdjęto z niego odzież świecką i obleczono po zakonnemu w habit.

Szewc Marcin tedy spi sobie jak za dobrych czasów niegdyś u siebie; tymczasem w nocy o godzinie 12-tej dzwonią w klasztorze — zakonnicy wstają i spieszą modlić się do chóru.

Brat Bonifacy otwiera celę, w której umieszczono grzesznego szewca i widząc go — spiącego jeszcze w najlepsze, woła:

— Bracie Hilary! trzeba wstawać: czas do chóru.

Atoli nagle przebudzony szewc mruczy opryskliwie pół nosem:

— A dajcież mi ludzie pokój — jam szewc *Marcin Trzęsionka*, a nie Hilary! — i przewrócił się na drugi bok, aby dalej używać miłego wywczasu.

Przecież brat Bonifacy upomina dalej i woła:

— Nie mów głupstw, nie mrucz, jeno wstawaj, bo bracia są już w chórze zebrani!

A gdy szewc się ociągał, odjął brat Bonifacy pasek: jak pociągnie szewca raz, drugi potężnymi węzłami, jak zakrzyknie na niego: *„A do chóru, do chóru nieboże!“* — tak majster Marcin skoczył na równe nogi, przeciągnął się, ziewnął i gdy otwarł oczy, rozglądnął się dookoła siebie po celi i po sobie, spokorniał i rzecze:

— Ej, proszę też jegomości, przecie ja szewc Marcin, nie żaden braciszek klasztorny!

— Ani słowa! — zawołał brat Bonifacy. — Jesteś bratem Hilarym. rozespałeś się i nie wiesz, co pleciesz. Ruszaj teraz do chóru!

Szewc, widząc, że brat Bonifacy znowu podnosi w górę pasek, wychodzi z trwogą z celi i zdąża za bratem do chóru. gdzie zastał wszystkich zakonników w kapturach na głowie, odmawiających gorliwie pacierze.

Stał tedy chwilę w kącie i dumał: co się z nim stało; wciąż się mu zdaje, że on — szewc Marcin, nie żaden klasztorny braciszek.... Chce sobie przypomnieć: gdzie był ostatni raz, kiedy powrócił do domu, skąd się tam wziął w klasztorze, gdzie jego świeckie ubranie, skąd na nim habit zakonny? Ale ani rusz! nie może sobie tego wszystkiego wytłómaczyć. Raz się mu robi zimno, to znowu gorąco — nareszcie ukląkł, złożył ręce i zaczyna odmawiać pacierze z pokorą.

Zakonnicy skończyli nabożeństwo; a za nimi postępuje nieśmiele brat Hilary. Wszedł on z nimi na rozległy korytarz, gdzie widzi jedne drzwi obok drugich, a nie wie: dokąd ma wejść, spieszy więc za bratem Bonifacym, bo tylko tego jednego poznał po owych węzłach u pasa, któremi od niego oberwał był po grzbiecie — i prosi go, aby mu wskazał: gdzie jego cela!!

Brat Bonifacy na to tak rzecze do niego:

— Co się z tobą, bracie Hilary dzieje, coś się ci we śnie w głowie przewróciło — wszak nie od dzisiaj mieszkasz w tej oto celi! Idź, połóż się, gdyż niezadługo znowu dzwonić będą do chóru!

Majster Marcin wszedł do wskazanej celi, zamknął ze złością drzwi za sobą i mówi sam do siebie:

— Poczekajno braciszku! pójdę ja ci do chóru: będziesz mię tam widział....

Idzie, odmyka okno celi w myśli, aby niem wyskoczyć

na dwór; ale, jakżeż się zasmucił, gdy spostrzegł, że to okno było zakratowane! Kładzie się więc na łóżko, na którem nie było nic więcej, oprócz garstki starej słomy, ale nie śpi, jeno przemyśliwa: jakby się z tego znienawidzonego klasztoru wydostać na wolność. Gdy zmiarkował, że już wszyscy spali, wstał, wyszedł cichutko z celi na korytarz, rozgląda się, czyby gdzie nie znalazł otwartych drzwi — ale napróżno.

Przekonawszy się, że nie było rady, powrócił do celi. Zaledwo się jednak położył, znowu dzwonią na modlitwy, teraz już więc nie czeka, aż brat Bonifacy przyjdzie go budzić, jeno sam wstaje czemprędzej i spieszy do chóru. Gdy z niego powrócił do celi, otwiera za chwilę brat Bonifacy i woła:

— Bracie Hilary, pójdź ze mną do ogrodu!

Gdy to szewc usłyszał, ucieszył się wielce, gdyż pomyślał, że stamtąd będzie mógł drapnąć.... Idzie więc czemprędzej za bratem Bonifacym do ogródka; ale jakież było jego zdziwienie, gdy zobaczył ogród — otoczony dookoła tak wysokim murem, iżby było trzeba przystawić bardzo długą drabinę, aby się po niej wydostać na mur. Brat Bonifacy podał mu łopatę i wskazując kawał ziemi, rzekł:

— To tutaj trzeba dzisiaj skopać, mój miły bracie i porobić grządki!

Westchnął szewc głęboko, ale darmo, nie było rady! Wziął więc do rąk łopatę i kopał ziemię do śniadania. Na śniadanie dano mu talerz wodzianki. Potem kopał do południa. Na obiad zjadł trochę kaszy na wodzie i drobno siekanych buraków i — znowu kopał do wieczora. A na wieczerzę dano mu kromeczkę chleba i trochę ziemniaków. Z początku i tego nie mógł zjeść, co mu dano, bo żołądek spalony gorzałką, nie mógł trawić; później jednak czuł nieraz, że to jadło mu nie wystarcza.

Robota w ogrodzie męczyła Marcina; toż często, obcierając pot z uznojonego trudem czoła myślał: bogdaj się to święciło.... szewskie kopyto! Wolałby był jednak i dwa razy już tyle w ogrodzie robić, niż uczyć się na pamięć łacińskiej ministrantury, służenia do Mszy św. i t. d.

Wszystkiego się przecież powoli nauczył; sprzątał po kościele, służył do Mszy świętej i t. p. Przy nieustannem zajęciu czas prędko mu schodził; toż Marcin, przyzwyczaiwszy się do życia klasztornego, począł naprawdę powątpiewać: że on jest szewcem Marcinem.

Na wszystko byłby się zgodził, tylko to go korciło, że

oprócz wody żadnego innego w klasztorze nie widział trunku. Nieraz takie pragnienie uczuwał do gorzałki, iż się mu zdawało, że zginie, jeżeli mu kto choć kieliszka wódki nie poda.

Poznawszy się z klasztornym stróżem, zaczął go namawiać, aby mu był wódki przyniósł, ale stróż, słysząc to, rzekł: „Chociażby mi jegomość nie wiem co dał, nie uczyniłbym tego, gdyż za to utraciłbym służbę w klasztorze, a jegomość musiałby odprawić srogą pokutę w ciemnej celi....

Usłyszawszy takie ostrzeżenie porzucił Marcin na zawsze myśl o gorzałce; i zła żądza do niej przestała go niepokoić. Im dłużej był w klasztorze, tem bardziej stawał się we wszystkiem uległym i posłusznym. Robił z chęcią, co mu kazano, i co dzień wszystkim księżom służył do Mszy św., przy której nieraz gorąco i ze łzami się modlił, prosząc Boga o łaskę wytrwania w dobrem, a przytem często błagał Boga, aby oświecił był jego rozum, iżby sobie mógł przypomnieć, czyli on jest istotnie bratem Hilarym — jak go wszyscy w klasztorze nazywali — czy też szewcem.

Może już drugi miesiąc upłynął, odkąd szewc Marcin był w klasztorze. Marcinowej zaczęło się bez męża w domu przykrzyć. Pewnego więc dnia zabrała się i poszła do klasztoru na Mszę św., a myślała przytem i męża zobaczyć, jak on tam wygląda po zakonnemu.

Gdy weszła do kościoła, widzi, jak ksiądz odprawia Mszę św., a mąż klęczy pobożnie i służy mu do niej. Aby mogła lepiej męża oglądać, zbliżyła się do ołtarza, uklękła i modliła się.

Brat Hilary, przenosząc mszał na drugą stronę ołtarza, spostrzegł klęczącą żonę. Po chwili, gdy klęczał na stopniu, zwraca się twarzą do niej i pyta jej cicho:

— Pani Marcinowa! a czy pan majster Marcin jest w domu?

Marcinowa, nie zmieszana tem niespodzianem zapytaniem, odrzekła:

— Jest, proszę jegomości, zostawiłam go w domu właśnie przy warstacie.

Gdy to Marcin usłyszał, przestał już powątpiewać, że był bratem Hilarym i od owego czasu poświęcił się szczerze i całkowicie życiu zakonnemu.

Ksiądz Gwardyan, mąż wielce doświadczony i dbały o dobro bliźnich — zarówno wieczne jak i doczesne w ciągu pobytu Marcina w klasztorze zwracał ciągle na niego pilne oko; gdy zaś zauważył, iż się szewc zupełnie poprawił, po-

stanowił go wypuścić z klasztoru i to tem chętniej, gdy go żona Trzęsionki prosiła, iżby jej był męża już uwolnił, jeśliby uważał, że się on poprawił, gdyż jej samej przychodziło z trudnością na dzieci pracować.

Pewnego więc dnia wezwał ksiądz Gwardyan Marcina do siebie. Tu po ojcowsku przedstawił mu okropne skutki obrzydłego pijaństwa, nędzę żony i dzieci, oraz utratę zdrowego rozumu. Wytłómaczył mu przytem, że z miłości dla niego i z litości nad nędzą jego rodziny użył tego środka, aby go odwieść od strasznego grzechu pijaństwa, ratować jego duszę z piekła, a rodzinie zabezpieczyć spokój i pomyślność na dalsze lata.

Marcin z cichym płaczem słuchał tej zbawiennej nauki ks. Gwardyana, upadł mu do nóg, dziękując serdecznie za wszystkie dobrodziejstwa i przyrzekając uroczyście, że od owej chwili miał być zupełnie innym człowiekiem, prosił przytem, iżby mógł jeszcze przed odejściem w klasztorze odprawić spowiedź świętą z całego życia i przyjąć Najświętszy Sakrament.

Z największą chęcią zezwolił na to ks. Gwardyan; jakoż Marcin na drugi dzień z prawdziwą skruchą i nabożeństwem przyjął św. Sakrament, a następnie ślubował uroczyście wstrzemięźliwość od gorących napojów.

Odchodzącego z klasztoru OO. Bernardynów Marcina, sam ks. Gwardyan odprowadził do domu i oddał nawróconego męża nad wyraz uradowanej żonie.

Teraz zapłakał się rzewnie Marcin i przepraszał żonę za swe dawne bezbożne i gorszące życie i wyrządzone jej krzywdy; rozpłakała się i dobra żona, która przebaczyła wszystko skrusze i poprawie oddanemu mężowi — płakały i dzieci, że po długiem niewidzeniu oglądały znowu ojca. A temu powszechnemu płaczowi błogosławił ks. Gwardyan z całej duszy, gdyż ten płacz był rękojmią przyszłej pomyślności i szczęścia całej rodziny!

Szewc Marcin był odtąd pracowitym rzemieślnikiem, wzorowym mężem i czułym ojcem dla dziatek. W każdą niedzielę i święto służył niechybnie w klasztorze do Mszy św. — i Bóg mu pozwolił doczekać tej pociechy i tego szczęścia, że jego dwaj synowie wykierowali się z czasem na prawych i szanowanych obywateli; starszy z nich został księdzem i Proboszczem w rodzinnem miasteczku, młodszy zaś znaczniejszym urzędnikiem.

Powyższe zdarzenie, zapisane w dawnej kronice, można

uważać śmiało za prawdziwe, boć nietylko sama nauka stwierdza, ale i my niejednokrotnie widzimy w życiu codziennem, że zbytnie używanie wódki i wogóle trunków gorących, nietylko zdrowie i siły podkopuje i niweczy, ale zarazem i władze duchowe — ogłupia człowieka i przytępia osobliwie, a nieraz i całkowicie niweczy, czyli odbiera pamięć.

Otóż roztropny i doświadczony ów ks. Gwardyan bernardyński wiedział dobrze o tej prawdzie, i postanowił wyzyskać tę okoliczność ku poprawie grzeszącego i lekkomyślnego rzemieślnika — ojca dzieciom.

Sprawdziło się starodawne przysłowie: „*Niema tego złego, coby nie wyszło na dobre*“ — nadzieja nie zawiodła ks. Gwardyana; Marcin Trzęsionka odbył mimowolnie klasztorną pokutę w habicie. Wyszło mu to na dobre, gdyż się upamiętał, wyrzekł gorzałki — poprawił się i powróciwszy do rodziny, doczekał się własnego i swych dzieci szczęścia.

Nie wstydź się rodziców.

W pułku sławnego jenerała Z. znajdował się rotmistrz K. Był roztropny, mężny i kochał rodziców, jak na dobrego syna przystało. Rodzice jego byli ubogimi wieśniakami. Z orderem na piersiach, przybył na czele wojska po skończonej wojnie do miasta, będącego w pobliżu jego rodzinnej wioski.

Rodzice ze wsi pospieszyli do miasteczka, by po tylu latach niewidzenia, syna swego obaczyć — i czekali nań na rynku.

Skoro ich poznał, szybko zeskoczył z konia i ze łzami radości ich uściskał. Wkrótce potem zabrał ich do siebie i prosił ich zawsze do stołu, choć miał znakomitszych gości.

Razu jednego szydził sobie pewien oficer, że wieśniacy razem z rotmistrzem siedzą przy stole.

— Jakto? Czyżbym miał pierwszych dobrodziejów mojego życia się wstydzić i być im niewdzięcznym? — odrzekł rotmistrz. — Zanim byłem królewskim rotmistrzem, już przed wielu laty byłem ich dzieckiem.

Jenerał Z. dowiedziawszy się o tem, zaprosił się sam z kilkoma innymi, zacnymi gośćmi do rotmistrza na obiad. Tym razem rodzice rotmistrza sami nie chcieli być obecnymi na obiedzie, gdyżby nie wiedzieli, jak się zachować.

Gdy miano siadać do stołu, zapytał jenerał:

— Ależ rotmistrzu, gdzie są rodzice? Sądziłem, że razem z panem siądą do stołu?

Rotmistrz uśmiechnął się i nie wiedział, co odpowiedzieć. Więc sam jenerał wstał i przyprowadził rodziców rotmistrza. Musieli po obu jego stronach usiąść do obiadu, podczas którego najuprzejmiej z nimi rozmawiał.

Gdy poczęto wnosić zdrowia, wziął kielich i powstawszy, rzekł:

— Moi panowie! piję za pomyślność zacnych rodziców pełnego zasług syna, który umie dowieść, że wdzięczny syn więcej jest wart, niż dumny rotmistrz!

Poźniej znalazł jenerał sposobność samemu królowi donieść o rotmistrzu, jak tenże szanuje swoich ubogich rodziców, co też króla bardzo ucieszyło. Chcąc go lepiej poznać, zaprosił go król do siebie na obiad.

— Słuchaj rotmistrzu — rzekł król, chcąc zbadać jego usposobienie — z jakiego stanu właściwie pochodzisz? Kto są twoi rodzice?

— Najjaśniejszy Panie — odrzekł rotmistrz bez namysłu — ja pochodzę z chłopskiego stanu, a rodzice moi są wieśniakami, z którymi dzielę się szczęściem, jakie Waszej Królewskiej Mości zawdzięczam.

— Tak, to mi się podoba — rzekł uradowany król; kto szanuje swoich rodziców, ten jest mężem czcigodnym — a kto ich nie szanuje, nie wart, aby się narodził.

„Czcij ojca i matkę twoją“, to jest pierwsze przykazanie z obietnicą.

Cudowna moc Boska.

Działo się to w roku 1545 w południowej Francyi, a świadkami tego zdarzenia było kilka tysięcy wiernego i niewiernego ludu.

W górzystej okolicy Pyreneów, w starem hrabstwie Bearn, leży małe miasteczko Orthez. Tu żyło zdala od świata małe grono zakonników św. Franciszka w klasztorze położonym nieco za miastem, nad bystrą rzeką Gawą.

Wówczas we Francyi zaczęło się przyjmować nasienie nauki Lutra, a pierwszym jego owocem były rozruchy. Całe tłumy Hugenotów (tak się bowiem nazywali protestanci francuscy), wałęsały się po okolicy i gdzie napotkały słabszą katolicką osadę, tam niszczyły wszystko ogniem i mieczem.

Pewnego dnia zabrzmiały przed bramą klasztoru dzikie okrzyki: śmierć papistom. Gwałtownie zadzwoniono do bramy klasztornej, a gdy tej nie otworzono, rewolucyoniści oblegli

klasztor i w krótkim czasie zdobyli to zacisze bezbronne. Jak dzikie zwierzęta rzucili się rozbestwieni fanatycy na biednych zakonników i wkrótce dokonano krwawej roboty. Jednych pozabijano mieczem, drugich spalono na stosie.

Jednego tylko jeszcze brakło, jego też szukali odszczepieńcy z piekielną zaciekłością: był to Gwardyan klasztoru. Ten bowiem opuścił grono braci, aby Najśw. Sakrament ukryć w bezpieczne miejsce. Już był w kościele, już wyjął z ołtarza puszkę z Najśw. Sakramentem, gdy dzicz rozpasana wpadła do kościoła, a Gwardyan wraz z Najśw. Sakramentem dostał się w ręce rozjuszonych wrogów.

Z szatańskim śmiechem szyderczym rzucili się na niego, by mu odebrać puszkę z Najśw. Hostyami. Chcieli oni i na tej świętości złość swą bluźnierczą wytrzeć, jak to w innych miejscowościach byli czynili, ale Gwardyan zamkniętą puszkę, tak mocno trzymał w swych rękach, że żaden z napastników nie zdołał mu skarbu tego z rąk wydrzeć. Nadprzyrodzona siła widocznie wspierała go z nieba, w tej strasznej chwili pasowania się z niewiernymi, bo ani wszyscy razem nie zdołali mu rąk otworzyć.

Wtem jeden z napastników z straszliwą klątwą okropny mu cios zadał w głowę, a gwardyan padł bezprzytomny na ziemię. Drudzy rzucili się również na niego i sztyletami i mieczami przeszyli mu pierś tak, że w kilku chwilach ducha wyzionął.

Ale i martwe ciało męczennika, jakoby żelaznemi kleszczami ściskało święte naczynie i nie było podobieństwem z ręki martwej go wydostać. Wtenczas rozwścieklona tłuszcza wrzuciła ciało wraz z puszką, którą trzymało, w nurty rzeki Gawy.

Ciało, wrzucone do wody, zanurzyło się, ale wypłynęło natychmiast na powierzchnią i leżało wyciągnięte na powierzchni wody, jakoby na łożu. Oblicze martwe jaśniało spokojem, a ręce na piersiach skrzyżowane tuliły puszkę z Najśw. Sakramentem. Kołysane falami popłynęło ciało męczennika z Bogiem swym na sercu po powierzchni wody, bo mordercy nie mieli tyle odwagi, aby podążyć za niem i powstrzymać je w biegu, cud ten napełnił ich przerażeniem.

I inni ludzie ujrzeli ten cud, ale nawet i katolicy dalszych okolic nie śmieli wstrzymać ciała męczennika na tej wodnej pielgrzymce, tylko chwaląc Boga, towarzyszyli płynącemu ciału zakonnika po obydwóch stronach rzeki.

Tak przypłynęło ciało do miasta Bayonne.

I tu posypały się setki ludzi z miasta, aby się temu cu-

dowi przypatrzeć. W Bayonne znajdował się klasztor tego samego zakonu, którego członkiem był Gwardyan zamordowany, także tuż nad samą rzeką.

Gdy się ciało zbliżyło, zwróciło się od środka rzeki ku klasztorowi, przybyło do brzegu i zatrzymało się pod murami klasztornymi, jak gdyby chciało dać poznać, że tu miejsce jego spoczynku.

Niezliczone tłumy tymczasem zebrały się nad wodą, ale nikt nie śmiał dotknąć się ciała, niosącego Najświętszy Sakrament. Coraz więcej przybywało ludzi, całe miasto było w poruszeniu, a w końcu i z dalszych okolic przybywały tysiące na brzegi rzeki Gawy przed klasztor Franciszkanów, aby być świadkami tego cudu; głośne wznosiły się modły do nieba, zewsząd wołano: Niechaj będzie pochwalony Przenajświętszy Sakrament.

W katedrze zebrał Biskup całe Duchowieństwo miasta i wyruszył w procesyi ku rzece. Uderzono we wszystkie dzwony, a do uroczystego pochodu przyłączyły się wszystkie stany i wszystkie cechy, jak na przyjęcie monarchy.

Gdy procesya przybyła do rzeki, wyniesiono ciało męczennika, które wciąż jeszcze w skrzepłych dłoniach trzymało Najśw. Sakrament, na brzeg, a Biskup z łatwością wyjął z martwych rąk puszkę, której cały tłum morderców wydrzeć nie zdołał i przy odgłosie muzyki i śpiewów zaniósł ją w procesyi do kościoła katedralnego, gdzie ją do dziś dnia pokazują. Ciało męczennika złożono jako skarb drogocenny w kościele klasztoru franciszkańskiego, gdzie rozlicznymi zasłynęło cudami.

Co mówią starzy.

Łagodność i znoszenie przywar bliźniego, jest źródłem pokoju.

Kto kocha ubogich w swem życiu, bez trwogi spoglądać będzie na zbliżającą się chwilę śmierci.

Im więcej będziesz miał cierpliwości, tem dalej zajdziesz.

Szczera chęć ma bystre oko i dużo osiąga.

W Krakowie, czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.